

prędzej uwiliby złoty pejcz na siebie z piasku  
na pustyni Gobi  
niż napisali wdzięczny dla ucha poemat – nikt  
się tego dzisiaj  
na ochotnika nie podejmie – wbrew  
obietnicom –  
nikt tego za mnie nie zrobi ani lepiej ani  
gorzej

a spieszyc się trzeba bo do wieczora wszystkie  
znaczące słowa  
zgęstnieją jak zmrok i legendarny król  
wyjdzie w przebraniu  
żebraka zobaczyć na własne oczy co mówią  
i robią jego poddani  
a im język kołkiem nie stanie gdy będą  
w cztery oczy zaklinać się

że mówią prawdę (na wszystkich świętych  
i długą siwą brodę  
króla gołębiej delikatności i urody) dziwiąc  
się że taki prostak  
co przed nimi stoi wyhodował w ukryciu jej  
białą podobiznę  
wtedy ja po raz kolejny w życiu nim zasną po  
ciężkim dniu

kiedy się wydostanę spod lawiny wspomnień  
w jądrze pestek  
mięsistych owocu granatu wyruję wszystko  
ostrym rylcem  
zjadliwej satyry – to o czym łąli i oni  
(przypadkowi włóczędzy)  
i sam król (bez obaw o napad podający się za  
kogoś innego)

jakby miało to wiekopomne znaczenie dla  
przyszłych pokoleń i  
następnych stuleci – dorzucę jeszcze od siebie  
niejadalną skórkę  
ironii – zanim los wykrzesze iskrę czasu która  
i tak podstępny  
ogniem strawi płynącą z nurtem życia moją  
małą prywatną łupinę

## Jerzy Utkin

### cenia

mnie nie  
mienie najdroższe  
lecz własne  
sumienie

kodeks  
mój stanowi

wymiar kary  
surowszy  
niż skrzywienie  
ust

mienie cenia

nad życie  
paragrafy krzywdy

słowa z kłamstwa  
wyssane

cenia ponad

wszystko

### człowiek człowiekowi

twórcy  
paragrafów krzywdy  
nie mają niczego  
na sumieniu

za to  
wszystko mają  
w dupie

bezprawie  
w majestacie prawa

ukazuje swoje  
wilcze kły

gdy  
człowiek człowiekowi

sędzią oraz katem

### skazują

grożą palcem  
zbrodniarzom

skazują  
za sukces

tylko ten  
nic nie straci  
kto niczego  
nie ma

na łasce i o łasce  
sycąc się jałmużną

czerstwą jak kromka  
głodu

i gorzką  
jak żółć

## Marzena Broda

### Rudzik za oknem

Siedziałam przy stole, popijając herbatę,  
I patrzyłam przez okno. Wiatr przybierał na  
sile.

W nagłych nieregularnych powiewach szarpał

Pokrywą od kubła na śmieci. Latały liście  
I foliowe worki zaczęły się o krzewy,  
Dopóki nie odhaczył ich mocniejszy  
podmucha.

Gdy tylko zrobiło się południe, zaraz sfrunął  
Na ścieżkę rudzik. Nierealnie kolorowy,  
O rudawym gardle, przystanął, pochylił ciało,  
Żeby się zamachnąć skrzydłami do przodu,  
I wyprostował się, trzymając w dziobie

robaka,  
W odległości nie większej niż pięć metrów  
ode mnie.

Między gałęziami (czarne i bezlistne,  
Okryte omszałą korą) śmignęła wiewiórka,  
Skacząc z góry na dół rozhuśtała drzewa.  
To prostując, to podciągając ogon pod siebie,  
Dotarła do ich wierzchołków, nie zdradzając  
Żadnych oznak niepokoju ani chęci ucieczki.  
Wiatr nawet na chwilę ustał, przeciągając  
Mój wzrok w prawą stronę, nieco na

południe,  
Gdzie na dotąd trupio szare niebo naszły  
chmury,

Które się rozpierzchły, rozgonione  
podmuchami,

Ale odbite w brązowawej kałuży, obramionej  
Zapadniętymi brzegami starego błota.  
Nie wiedziałam, czy śledzić je, ryzykując, że

rudzik

Wskoczy na śmietnik, a potem się wzbije  
I, rozkładając w powietrzu szeroko ogon,  
zniknie,

Czy odejść od okna i czekać, aż się  
wypogodzi,

Czy raczej dalej obserwować jego krzątanie,  
W nadziei że uda mi się zobaczyć o wiele

więcej.

W końcu ogarnęło mnie wrażenie, że może  
oglądam

Coś niezwykłego, coś, co się wydarza  
jednak

Codziennie tu i teraz w ogródku, bardziej  
nijakim

Niż zwyczajnie zaniedbanym po zimie (to  
kwestia

Czasu nim wszystko uporządkuję). Dzisiaj  
Jakikolwiek by on był, niewiele da się w nim  
zmienić.

### Kłaskanie piegzy

Z początku tylko wlatywała w gęstwinę liści  
I prędko z niej wylatywała,  
Później, jak przefruwała wśród gałęzi,  
Zauważyłam w tarninie wyplecione gniazdo,  
Koszyk z suchych traw, wielkości piłki

tenisowej,

Nic więcej. Ale nie było poruszenia w liściach  
Ani szczegółu, o którym można by pomyśleć,  
Że przy takiej pogodzie, kiedy nawet pająki  
Nie potrafią usiedzieć na miejscu,  
Zaraz mignie w powietrzu upierzona plama  
I będzie słycać kłaskanie – coś jak uderzanie,  
Dosyć ciche, patykami w deskę.